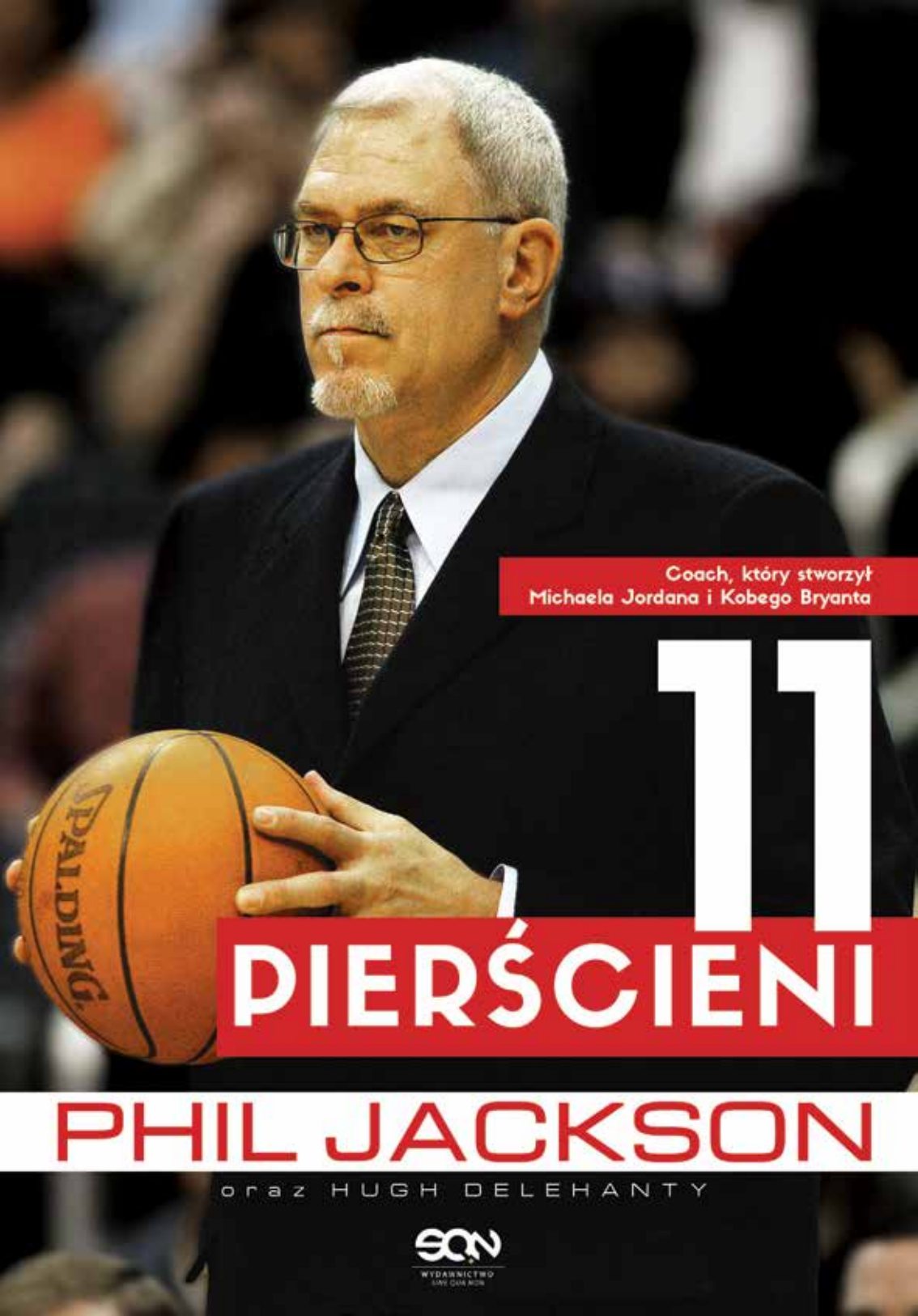


A portrait of Phil Jackson, an older man with grey hair, glasses, and a goatee, wearing a dark suit, white shirt, and patterned tie. He is holding a Spalding basketball in his right hand. The background is a blurred crowd of spectators.

Coach, który stworzył
Michaela Jordana i Kobe'go Bryanta

11 PIERŚCIENI

PHIL JACKSON

oraz HUGH DELEHANTY

sqn
WYDAWNICTWO
SPORTOWE

11 PIERŚCIENI

PHIL JACKSON

oraz HUGH DELEHANTY

11 PIERŚCIENI

tłumaczenie

MICHAŁ RUTKOWSKI

KRAKÓW 2014

ELEVEN RINGS
THE SOUL OF SUCCESS

Copyright © Phil Jackson 2013
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014
Copyright © for the translation by Michał Rutkowski 2014

Redakcja i korekta – Joanna Mika-Orządała, Kamil Misiek / Editor.net.pl
Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc
Oktładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: © Greg Fiume/Corbis
Zdjęcie na czwartej stronie okładki: © Joseph Escamilla

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014
ISBN: 978-83-7924-239-9



www.wydawnictwosqn.pl



DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



/WydawnictwoSQN



/SQNPublishing



/WydawnictwoSQN



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



Wspieramy środowisko! Książka została wydrukowana na papierze
wyprodukowanym zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki leśnej!

Dla Reda Holzmana, Texa Wintera
i wszystkich zawodników, których dane mi było trenować
i którzy udzielili mi tylu cennych lekcji.

*Kiedy w to, co robisz, wkładasz całą duszę,
czujesz, jak płynie w tobie rzeka, czujesz radość.*

Rumi

KRĄG MIŁOŚCI

Życie jest jak podróż. Czas jest jak rzeka. Drzwi są uchylone.

Jim Butcher

Cecil B. DeMille byłby tą chwilą zachwycony. Siedziałem w limuzynie na podjeździe przed halą Los Angeles Memorial Coliseum, czekając na przybycie swojej drużyny, podczas gdy rozentuzjasmowany tłum ponad 95 tysięcy kibiców, poubieranych we wszystkie możliwe kombinacje fioletowo-złotych barw Lakers, maszerował na stadion. Kobiety w spódniczkach baletowych, mężczyźni poprzebierani za szturmowców z *Gwiezdnych wojen*, dzieciaki wymachujące transparentami z napisem „Kobe Diem”... Ale pomimo całego szaleństwa w tym starożytnym rytuale w scenerii Los Angeles było coś inspirującego. Jeff Weiss, dziennikarz z „LA Weekly”, opisał to tak: „Mogliśmy przez chwilę poczuć się jak rzymskie legiony powracające do domu po podbiciu Galii”.

Prawdę mówiąc, nigdy nie czułem się komfortowo, celebrując zwycięstwa, co, biorąc pod uwagę zawód, jaki sobie wybrałem, może się wydawać trochę dziwne. Po pierwsze – boję się tłumów. Podczas meczów mi to nie przeszkadza, ale w sytuacjach, których nie

* Gra słów nawiązująca do *carpe diem*, łacińskiej sentencji Horacego, oznaczającej „chwytaj dzień” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

kontroluję, miewam mdłości. Nigdy też nie lubiłem być w centrum zainteresowania. Może to moja wrodzona skromność, a może efekt wychowania. Oboje moi rodzice byli pastorami. Uważali, że zwyciężanie jest w porządku – mama była zresztą jedną z najbardziej walecznych osób, jakie znałem – ale nie powinno się go przesadnie świętować, bo to obraża Boga. Mówili tak: „Chwała należy do Niego”.

Tyle że w tej celebracji nie chodziło o mnie. Chodziło o niesamowitą przemianę, która stała się udziałem zawodników kroczących po mistrzostwo NBA w 2009 roku. Widać to było na ich twarzach, kiedy tak schodzili po długich, purpurowo-złotych schodach, w czapczkach z daszkiem i okolicznościowych mistrzowskich T-shirtach, śmiejąc się, rozpychając, promieniejąc radością, ku uciesze wiwatujących tłumów. To oni byli w tym momencie władcami koszykarskiego wszechświata. Niektórzy trenerzy mają obsesję na punkcie wygrywania kolejnych trofeów, inni uwielbiają widzieć swoją twarz na ekranach telewizorów. Ale na mnie największe wrażenie robi widok młodych ludzi, których łączy potężna więź, którzy tworzą wspólną magię, pojawiającą się tylko wtedy, kiedy są w pełni skoncentrowani – całym sercem i całą duszą – na czymś więcej niż tylko na sobie. Wystarczy, że raz tego doświadczysz, a już nigdy nie zapomnisz tego uczucia.

Symbolem jest pierścień.

W NBA pierścień jest symbolem statusu i władzy. Może i jest wieśniacki, może nieporęczny, ale to właśnie marzenie, żeby go wygrać, jest tym, co motywuje do przetrwania trudów długiego sezonu NBA. Jerry Krause, były menedżer Chicago Bulls, rozumiał to doskonale. Kiedy w 1987 roku dołączyłem do drużyny jako asystent trenera, poprosił, żebym nosił jeden z dwóch pierścieni mistrzowskich, które zdobyłem jeszcze jako zawodnik w New York Knicks. Chciał w ten sposób zmotywować młodych zawodników Bulls do cięższej pracy. Zdarzało mi się to robić podczas playoffów, kiedy jeszcze pracowałem jako trener w Continental Basketball Association, ale wydawało mi się, że pomysł, żeby codziennie zakładać na palec to ciężkie błyszczące

żelastwo, to lekka przesada. Pewnego dnia, przy okazji obiadu, który jadłem w restauracji Bennigan's w Chicago, główna część pierścienia odpadła i nie udało się jej odzyskać. Od tamtego czasu znowu nosiłem pierścionie już tylko podczas playoffów i przy specjalnych okazjach, takich jak tamten triumfalny marsz w koloseum.

Z psychologicznego punktu widzenia pierścienie jest symbolem czegoś zupełnego: walki o odzyskanie spokoju, harmonii, więzi i spełnienia. Na przykład w rodzimej kulturze amerykańskiej jednocząca siła kręgu była tak znacząca, że całe narody łączyły się niczym seria połączonych pierścieni (albo obrączek). Indiańskie tipi miało kształt pierścienia, podobnie jak ognisko, jak wioska i jak układ całego narodu – kręgi wewnątrz kręgów, niemające początku ani końca.

Większość moich podopiecznych nie była oczywiście obeznana z tymi niuansami, ale podświadomie rozumieli głębsze znaczenie słowa „pierścień”. Już na początku sezonu spontanicznie stworzyli okrzyk, który powtarzali przed rozpoczęciem każdego meczu, stojąc w kółku i trzymając się za ręce: „Raz, dwa, trzy – PIERŚCIEŃ!”.

Kiedy już zawodnicy zajęli swoje miejsca na scenie – czyli przenośnym parkiecie z hali Staples Center – stanąłem przed nimi i przemówiłem do tłumu. „Co było mottem naszej drużyny? Pierścień! – powiedziałem, pokazując swoje wyróżnienie z ostatniego sezonu mistrzowskiego, w 2002 roku. – Pierścień. To właśnie było naszym mottem. To nie jest tylko kawałek złota. To krąg, który zbudował więź pomiędzy zawodnikami. Krąg wielkiej wzajemnej miłości”.

Krąg miłości.

Większość kibiców koszykówki nie myśli o swojej dyscyplinie sportu w ten sposób. Ale po ponad 40 latach spędzonych wokół koszykówki na najwyższym poziomie, zarówno w roli zawodnika, jak i trenera, nie potrafię znaleźć trafniejszej frazy określającej tajemniczą alchemię budującą więź pomiędzy koszykarzami i jednoczącą ich w pogoni za tym, co niemożliwe.

Oczywiście nie mówimy tu o żadnej romantycznej miłości ani nawet nie o miłości braterskiej w tradycyjnym sensie chrześcijańskim.

Najlepszą analogią, która przychodzi mi do głowy, jest intensywna więź emocjonalna, którą odczuwają bojownicy podczas bitwy.

Kilka lat temu dziennikarz Sebastian Junger spędził dużo czasu z plutonem żołnierzy amerykańskich stacjonujących w jednej z najbardziej niebezpiecznych części Afganistanu, po to, żeby zrozumieć, co sprawia, że ci niezwykle odważni młodzi ludzie są w stanie walczyć w tak okropnych warunkach. Swoje odkrycia i przemyślenia opisał w książce *War* („Wojna”). Jego zdaniem odwagi niezbędnej do podjęcia niezłomnej walki nie da się oddzielić od miłości. Dzięki silnemu poczuciu braterstwa, które uformowało się wśród żołnierzy, bardziej martwili się oni o to, co może spotkać ich kumpli, niż o to, co spotka ich samych. Junger wspomina, jak jeden z żołnierzy opowiadał mu, że mógłby rzucić się na odbezpieczony granat, żeby ratować każdego ze współtowarzyszy, choć przecież nie wszystkich lubił czy cenił. Kiedy Junger spytał dlaczego, żołnierz odpowiedział: „Ja naprawdę kocham swoich braci. Tak, jesteśmy jak bracia. I to, że możemy komuś uratować życie, sprawić, że ten ktoś nie zginie, daje nam ogromną satysfakcję. Każdy z nich to samo zrobiłby dla mnie”.

I to właśnie ten rodzaj więzi, którego praktycznie nie da się skopiować w życiu cywilnym, jest zdaniem Jungera krytycznym czynnikiem sukcesu – bo oto wszystko staje się możliwe.

Oczywiście nie zamierzam iść w tej analogii za daleko. Koszykarze nie ryzykują codziennie swoim życiem jak żołnierze w Afganistanie, ale przecież zasady, które ich dotyczą, są podobne. Nie sięgniesz po mistrzostwo NBA bez kilku czynników krytycznych, takich jak właściwa kombinacja talentu, kreatywności, inteligencji, twardości, no i oczywiście szczęścia. Ale jeśli w drużynie nie ma najbardziej istotnego składnika – miłości – to wszystkie pozostałe przestają mieć znaczenie.

Budowanie takiej świadomości nie odbywa się oczywiście z dnia na dzień. Zachęcanie młodych sportowców, żeby porzucili przywiązanie do własnego ego i w pełni zaangażowali się w doświadczanie życia grupy, może trwać latami. Zwłaszcza że NBA nie jest najlepszym

środowiskiem do nauki bezinteresowności. Bo choć dyscyplina sportu jako taka jest pięcioosobowa, to otaczająca ją kultura wspiera zachowania egoistyczne i przedkłada osiągnięcia indywidualne ponad więź w drużynie. Kiedy zaczynałem grać w koszykówkę w Knicks w 1967 roku, było inaczej. Większość zawodników zarabiała wtedy w granicach zdrowego rozsądku i latem musiała brać się do dodatkowych zajęć, żeby móc związać koniec z końcem. Mecze rzadko bywały transmitowane i nikt z nas nie słyszał o skrótach z najlepszych akcji, że o Twitterze nie wspomnę.

Wszystko zmieniło się w latach 80., głównie pod wpływem rosnącego zainteresowania rywalizacją Magica Johnsona z Larrym Birdem i pojawienia się w NBA globalnego fenomenu – Michaela Jordana. Dziś koszykówka to przemysł wart miliardy dolarów, z kibicami na całym świecie i z wyrafinowaną machiną medialną, która przez 24 godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, transmituje wszystko to, co dzieje się na parkiecie i poza nim. Nieszczęsnym efektem ubocznym tego procesu jest napędzana przez marketing obsesja bycia supergwiazdą, która zainfekowała ego wielu koszykarzy i wprowadza zamęt w to, co przede wszystkim przyciąga kibiców do koszykówki: w przypisane do niej piękno.

Tak jak większość ekip mistrzowskich Lakers przez wiele lat walczyli, żeby z bezładnej zbieraniny koszykarzy napędzanych przez pragnienie pieniędzy i sławy przemienić się w bezinteresowną drużynę zjednoczoną w dążeniu do wspólnego celu. Nie był to może najbardziej wyjątkowy zespół, jaki trenowałem – ten honor przypada w udziale prowadzonym przez Michaela Jordana i Scottiego Pippena Chicago Bulls z sezonu 1995/96. Nie byli też na pewno tak utalentowani jak Lakers z sezonu 1999/2000 i naładowani strzelcami pokroju Shaquille’a O’Neala, Kobego Bryanta, Glena Rice’a, Roberta Horry’ego, Ricka Foxa albo Dereka Fishera. Ale Lakersi z sezonu 2008/09 mieli w swoim DNA kiełkującą wielkość. Już podczas obozu treningowego przed rozpoczęciem sezonu, w sierpniu 2008 roku, wyglądali na bardziej głodnych sukcesu niż kiedykolwiek wcześniej.

Na zakończenie poprzedniego sezonu wykonali cudowny marsz do finałów przeciwko Celtics, tylko po to, żeby zostać w Bostonie upokorzeni porażką różnicą 39 punktów w decydującym szóstym meczu.

Lanie, które zebraliśmy wtedy z rąk Kevina Garnetta i spółki – nie wspominając o koszarnej drodze do hotelu, którą musieliśmy potem pokonać, mijając tłumy rozradowanych kibiców Celtics – było z pewnością koszmarnym doświadczeniem, zwłaszcza dla młodych koszykarzy, którzy nie mieli wcześniej okazji posmakować bostońskiego jadu. Niektóre drużyny się po takich porażkach nie podnoszą i rozpadają, ale tamci chłopcy dostali tylko dodatkowego kopa, choć zaraz po tym, jak znaleźli się o krok od ostatecznej nagrody, zaliczyli bolesny upadek w potyczce z silniejszym, twardszym i budzącym grozę przeciwnikiem. Kobe, który dostał wtedy nagrodę dla najbardziej wartościowego koszykarza NBA (MVP), był skoncentrowany wyjątkowo. Zawsze pozostawałem pod wrażeniem jego odporności i pancерnej pewności siebie. W przeciwieństwie do Shaqa, który często miewał wątpliwości co do swojej wartości, Kobe nigdy by nie pozwolił, żeby coś takiego przeszło mu przez myśl. Jeśli ktoś zawiesiłby poprzeczkę na wysokości trzech metrów, on skoczyłby na trzy trzydzieści, nawet jeśli nikt przed nim czegoś takiego nie dokonał. I właśnie z takim nastawieniem pojawił się na tamtym obozie treningowym, co miało niebagatelny wpływ na resztę drużyny.

Ale to nie bezlitosna determinacja Kobego zrobiła wtedy na mnie największe wrażenie, lecz jego zmieniająca się relacja z kolegami. Zniknął arogancki młody człowiek, tak skupiony na dążeniu do bycia najlepszym koszykarzem na świecie, że był w stanie wyssać radość z gry w koszykówkę ze wszystkich innych. Nowy Kobe, który się wtedy narodził, wziął sobie do serca swoją funkcję: lidera drużyny. Wiele lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Los Angeles, musiałem zachęcać Kobego, żeby spędzał z kolegami więcej czasu, zamiast się chować w hotelu i studiować kasety z nagraniami meczów. Ale on się wtedy tylko naśmiewał, mówił, że ci goście interesują się tylko panienkami i samochodami. Teraz naprawdę się starał, żeby

się zbliżyć do pozostałych, zrozumieć, jak uczynić z nich bardziej jednolitą ekipę.

To, że drugi kapitan drużyny Derek Fisher miał naturalne cechy przywódcze, wyjątkową inteligencję emocjonalną, a nawet dobrze ukształtowane umiejętności menedżerskie, oczywiście pomogło. Bardzo się ucieszyłem, kiedy Fish, główny rozgrywający podczas naszych trzech wcześniejszych sezonów mistrzowskich, zdecydował się na powrót do LA po krótkich epizodach w Golden State Warriors i Utah Jazz. Nie odznaczał się może taką szybkością i kreatywnością jak niektórzy z młodszych rozgrywających w NBA, ale za to był silny, zeterminowany i nieustraszony. No i miał nieziemsko twardy charakter. I choć był wolniejszy, to miał dar błyskawicznego wyprowadzania piłki i prowadził nasz atak jak należy. Świetnie trafiał za trzy punkty, zwłaszcza w ostatnich sekundach meczu. Ale najważniejsza była siła na więź, która łączyła obu zawodników. Kobe szanował dyscyplinę mentalną i niezawodność Fisha, który nie ulegał, nawet będąc pod presją, a Derek potrafił dogadać się z Kobem jak nikt inny. Obaj rozpoczęli pierwszy dzień obozu treningowego od przemowy poświęconej potrzebie koncentracji na połączeniu sił i nieuleganiu presji. Co zabawne, Kobe z każdym dniem coraz bardziej przypominał w tych pogadankach mnie. Doradcy do spraw zarządzania, Dave Logan, John King i Halee Fischer-Wright, w swojej pionierskiej książce *Tribal Leadership* („Przywództwo plemienne”) wymieniają pięć etapów rozwoju plemiennego, zdefiniowanych na podstawie kompleksowych badań przeprowadzonych w małych i średnich organizacjach. I choć drużyny koszykarskie trudno zaliczyć do kategorii plemion, to przecież można w ich przypadku wyłonić podobne cechy charakterystyczne i podobne stadia rozwoju:

ETAP 1 – wspólny dla większości gangów ulicznych, charakteryzujący się desperacją, wrogością i przekonaniem, że „życie jest do dupy”.

ETAP 2 – naznaczony apatią, przekonaniem o byciu ofiarą pasywnych antagonistów, o tym, że to „moje życie jest do dupy”. Tak jak w serialu telewizyjnym *The Office* albo w komiksie o Dilbercie.

ETAP 3 – skoncentrowany głównie na osiągnięciach indywidualnych, napędzany przez motto „ja jestem świetny (w przeciwieństwie do ciebie)”. Zdaniem autorów książki członkowie organizacji znajdujące się na tym etapie „muszą wygrywać, a zwycięstwo jest dla nich czymś osobistym. Będą pracować i myśleć więcej od konkurentów. W efekcie otrzymujemy zbiór »samotnych wojowników«”.

ETAP 4 – dedykowany dumie plemiennej i nadrzędnemu przekonaniu, że „my jesteśmy świetni (w przeciwieństwie do innych)”. Drużyna będąca na tym etapie wymaga silnego przeciwnika – bo im większe wyzwanie, tym silniejsze plemię.

ETAP 5 – rzadki etap charakteryzujący się poczuciem niewinnego zdziwienia i silnej wiary w to, że „życie jest super” (przypomnijcie sobie Chicago Bulls w latach 1995–1998).

Zdaniem Logana i jego kolegów kultura związana z etapem piątym wygrywa z kulturą etapu czwartego, która wygrywa z trójką i tak dalej. Co więcej, zasady gry zmieniają się, kiedy przechodzimy z jednej kultury do drugiej. To dlatego tak zwane prawdy uniwersalne, które pojawiają się w większości książek poświęconych przywództwu, często nijak się mają do rzeczywistości. Aby zmienić kulturę i przejść na wyższy etap, należy znaleźć dźwignię, która będzie dla danego etapu rozwoju grupy odpowiednia.

Aby odnieść zwycięstwo, Lakers musieli w sezonie 2008/09 przejść z etapu trzeciego do czwartego. Kluczem do sukcesu było przekonanie większości zawodników do bardziej bezinteresownego podejścia do gry. Nie martwiłem się o Kobego, chociaż wiadomo było, że jeśli tylko się sfrustruje, to może rozpocząć swój festiwal strzelecki. Ale wiedziałem, że na tym etapie kariery, na którym się znajduje, dotarło już do niego, że próba zdobycia punktów przy każdym kontakcie z piłką jest po prostu głupotą. Nie martwiłem się też o Fisha ani o Pau Gasola, którzy mieli naturalny dar do odnajdywania się w grze zespołowej. Najbardziej martwili mnie niektórzy z młodych zawodników, którzy marzyli, żeby ich nazwiska zaistniały na ESPN SportsCenter. Ale ku własnemu zaskoczeniu już na początku sezonu

zauważyłem, że nawet najbardziej niedojrzali członkowie drużyny byli skoncentrowani na jednym celu. „Mieliśmy poważną misję do wykonania i nie ustawaliśmy w dążeniach – mówi skrzydłowy Luke Walton. – A kiedy już dotarliśmy do finału, to porażka nie wchodziła w grę”.

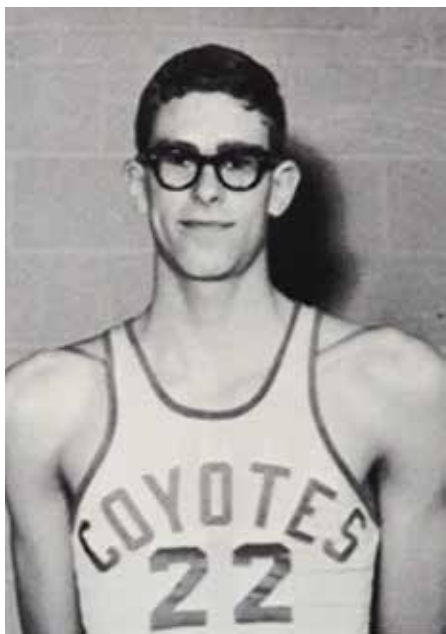
Sezon rozpoczęliśmy znakomicie, wygraliśmy 21 z pierwszych 25 meczów i kiedy w Boże Narodzenie przystępowaliśmy do pojedynku u siebie z Celtics, byliśmy dużo silniejsi mentalnie niż pół roku wcześniej podczas playoffów. Graliśmy w koszykówkę jakby zgodnie z zaleceniami koszykarskich bogów: bezbłędnie czytając obronę przeciwnika i reagując jak idealnie nastrojony kwintet jazzowy. Ci nowi Lakersi łatwo pokonali Celtics 92:83, po czym przetańczyli cały sezon, kończąc go z najlepszym bilansem w Konferencji Zachodniej (65:17).

Najpoważniejsze zagrożenie spotkało nas w drugiej rundzie playoffów, ze strony Houston Rockets, którzy przeciągnęli rywalizację do siedmiu meczów, i to pomimo kontuzji Yao Minga, który złamał nogę w meczu numer trzy. Naszą największą słabością było chyba to, że uznaliśmy, że same umiejętności wystarczą nam do zwycięstwa. Ale to, że znaleźliśmy się na krawędzi w starciu z drużyną, która grała bez swoich trzech największych gwiazd, sprawiło, że nasi zawodnicy pojęli, jak zdradliwe potrafią być playoffy. Wyrównana walka sprawiła, że się przebudzili, dzięki czemu zbliżyli się do czwartego etapu.

Nie mam wątpliwości, że drużyna, która zeszła z parkietu w Orlando po wygraniu finałów NBA w pięciu meczach, była inna od tej, która rok wcześniej kompletnie się posypała na parkiecie hali TD Garden w Bostonie. Nie chodzi tylko o to, że zawodnicy byli twardsi i bardziej pewni siebie – dodatkowo łączyła ich silna więź. „To było po prostu braterstwo – powiedział Kobe. – Na tym to polega: braterstwo”. Większość trenerów, których znam, spędza mnóstwo czasu, koncentrując się na fundamentach. Muszę przyznać, że sam też często wpadam w tę pułapkę. Ale przecież tym, co fascynuje większość kibiców, nie są niekończące się rozmowy o strategii, tylko coś, co

lubię nazywać duchową naturą gry w koszykówkę. Nie udaję, że jestem ekspertem w teorii przywództwa. Ale wiem na pewno, że przemiana grupy młodych, ambitnych indywidualności w zintegrowaną drużynę kalibru mistrzowskiego nie jest procesem mechanistycznym. To tajemnicza żonglerka, która wymaga nie tylko gruntownej wiedzy na temat zasad gry, ale również otwartego serca, czystego umysłu oraz ciekawości świata i ludzkiej duszy.

Ta książka opowiada o mojej podróży i próbie rozwikłania tej tajemnicy.

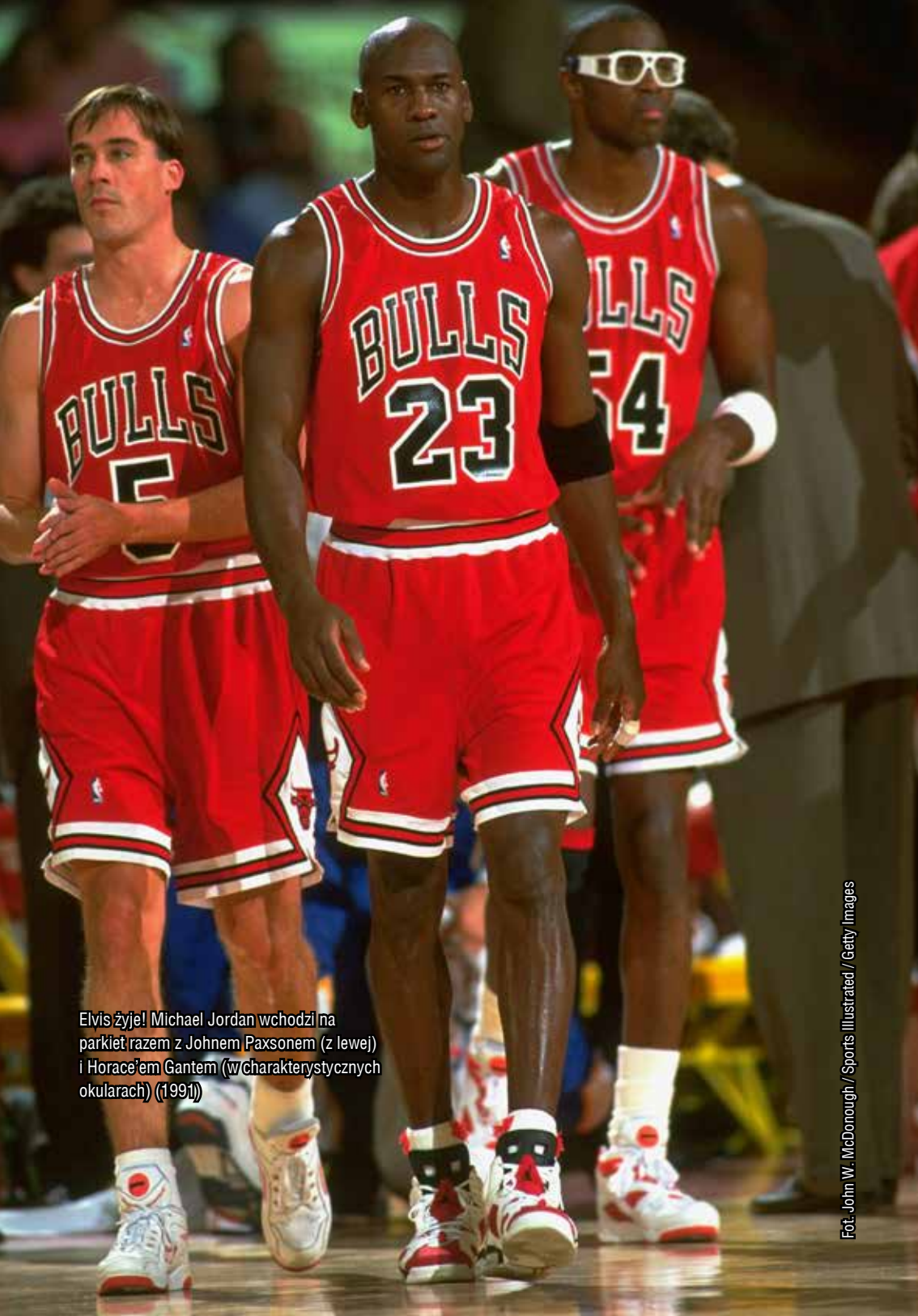


Fot. Dzięki uprzejmości autora (3)

Powyżej, po lewej: Oto dziecię. Moja mama i ja na moich chrzcinach w kościele Bethel Tabernacle w miejscowości Anaconda w Montanie (1945)

Powyżej, po prawej: Rodzina, która wspólnie się modli. Ja to ten w krótkich spodenkach razem z Joem, Joan, tatą, mamą i Charlesem (zgodnie z ruchem wskazówek zegara)

Po lewej: Wielki Kojot. W czwartej klasie liceum moja drużyna Williston High zdobyła mistrzostwo stanowe w Dakocie Północnej. Niektórzy przyjaciele wciąż jeszcze nazywają mnie Willey (skrót od bohatera kreskówek Kojota Wilusia)



Elvis żyje! Michael Jordan wchodzi na parkiet razem z Johnem Paxsonem (z lewej) i Horace'iem Gantem (w charakterystycznych okularach) (1991)

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

